Nr. 33 Rok 2 Kraków, dnia 17 sierpnia 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



NA SEKUNDĘ PRZED ATAKIEM

JESZCZE GWIŻDŻĄ IM NAD GŁOWĄ GRANATY WŁASNEJ ARTYLERII PRZYGOTOWUJĄCEJ STANOWISKO BOLSZEWICKIE DO SZTURMU, ALE KAŻDA SEKUNDA MOŻE PRZYNIEŚĆ SYGNAŁ DO ATAKU. CAŁE NAPIĘCIE I POWAGA CHWILI ODBIJA SIĘ NA TWARZACH TYCH ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH, KTÓRZY W PRZECIĄGU 30 DNI WDARLI SIĘ PRZESZŁO 800 KM W GŁĄB ROSJI, WALCZĄC I MASZERUJĄC, ŁAMIĄC NAJMOCNIEJSZE LINIE OBRONNE SZCZEGÓLNIE NA LINII STALINA.

Fot. Atlantic



… Z BOLSZEWIZMEM

Podczas gdy uciekające wojska rosyjskie podpalają mieszkańcom miast i wsi rosyjskich dachy nad ich głowami, pomagają żołnierze niemieccy gasić mieszkańcom te pożary i ratować resztki ich mienia, które pozostawili im bolszewicy, nie zdążywszy i tego zniszczyć. Już podczas kampanii francuskiej stali się żołnierze niemieccy bardzo często obrońcami wielu zagrożonych kościołów katedralnych Francji.

HUMANITARNOŚĆ — BARBARZYŃSTWU

Sanitariusz niemiecki opatrzył żołnierzy sowieckich wziętych do niewoli niemieckiej. W tej chwili dba on jeszcze o to, by ten żołnierz mógł się też napić, zanim w wielkim transporcie przewiezie się wszystkich jeńców do olbrzymich obozów.





Bez ustanku podaje komunikat naczelnej komendy wojsk niemieckich wiadomości o nalotach na stolicę Sowietów — Moskwę. Zdjęcie nasze pokazuje nam miasto Moskwę po jednym z nalotów nocnych dokonanych przez lotnictwo niemieckie. Zdjęcie wykonał samolot wywiadowczy w dzień po nalocie. Jasnym płomieniem pali się jedna z fabryk nad rzeką Moskwą. Cynicznie zaznaczył amerykański Sumner Wells, że naloty niemieckie to tylko naloty amatorskie. A z Moskwy nadchodzą wiadomości, że ludność stolicy zaczyna masami uciekać z miasta.

Oto godzina inspekcji w obozie jeńców sowieckich. W tej chwili nadszedł lekarz niemiecki i bada pojmanych żołnierzy sowieckich, którzy zgłosili się jako chorzy. Sowieccy komisarze polityczni, ulotki bolszewickie i dzienniki usiłowały ciągle wmówić żołnierzom rosyjskim, że wzięci do niewoli niemieckiej będą dręczeni przez żołnierzy niemieckich a potem rozstrzelani. Tak jednak wygląda rzeczywistość, której dziwi się niejeden żołnierz sowiecki.





Wszędzie tam, gdzie walczą wojska niemieckie, znajdują się także niemieccy sprawozdawcy wojenni, aby przy pomocy aparatu utrwalić przebieg działań. Niezliczone są te zdjęcia, pełne wyrazu tygodniki dźwiękowe, w których ojczyzna przeżywa walki odbywające się na froncie. Na naszym zdjęciu widzimy niemieckiego sprawozdawcę wojennego przy pracy. Na filmie uwiecznia on obraz gospodarstwa podpalonego przez bolszewików.

Lecz także ludność cywilna zdobytych ziem przychodzi z pełnym zaufaniem do niemieckich lekarzy wojskowych, aby zasięgnąć ich porady. Oto widzimy na zdjęciu kobiety sowieckie ze swymi niemowlętami, podczas badania ich przez niemieckiego lekarza wojskowego.





WALKA Z PARTYZANTAMI

W łanie zbożowym ukrył się oddział sowieckorosyjskich partyzantów. Ale żołnierze niemieccy wypatrzyli ich tam, teraz więc wychodzą z podniesionymi w górę rękami ze swego ukrycia, aby się dostać do niewoli. Na przedzie unieszkodliwiony sowiecki wóz pancerny.

POWRÓT

Na podstawie rozporządzenia Führera, zwolnieni zostają z niewoli niemieckiej wszyscy jeńcy francuscy, którzy brali udział w wojnie światowej, są ojcami rodzin lub przekraczają pewną granicę wieku. Na naszej ilustracji widzimy grupę oficerów francuskich, mających powrócić do ojczyzny.





Jeżeli władcy bolszewiccy myślą, że przez walkę z zasadzki poza frontem niemieckim uda im się powstrzymać pochód niemiecki albo wpłynąć na osłabienie niemieckiej siły bojowej, to mylą się bardzo i wywołują przez to jedynie coś wręcz przeciwnego. Zdradzieckość metod bolszewickich, niegodnych nazwy człowieka, zostanie bezwzględnie wykorzeniona. Na naszym zdjęciu żołnierz niemiecki ogląda piętnastostrzałowy karabin ręczny odebrany partyzantowi.

Fot. Ass. Press 7
Atlantic 4
Scherl 1

Specjalny pociąg wiozący zwolnionych z niewoli niemieckiej uczestników wojny wjeżdża na jeden z dworców francuskich, gdzie specjalna delegacja wita ich przybycie. Także orkiestra złożona z żołnierzy francuskich zjawiła się na stacji, aby powitać powracających towarzyszy broni.





Tu znowu dwóch żołnierzy niemieckich oddziałów SS wyciąga dwóch partyzantów sowieckich ze stojącej na uboczu stodoły. Wszędzie tam, gdzie wprowadza się metody walki uwłaczające kulturze, działa się bezwzględnie.

Z wielką radością wita żona powracającego z niewoli męża na dworcu wschodnim w Paryżu, gdzie w tej chwili stanął pociąg z wielu jego towarzyszami, zwolnionymi z niewoli. W niedługim czasie poświęci on swoje siły dziełu odbudowy Francji.





1
Jeden z niemieckich sprawozdawców wojennych, leżąc sam wśród gęstego gradu kul, sfotografował atak dział pancernych na wioskę, bronioną do upadłego przez bolszewików. Dwa działa pancerne przejeżdżają obok leżących w pierwszej linii bojowej niemieckich żołnierzy piechoty — ciągnie

2
leczy ogień rosyjskie stanowiska karabinów maszynowych.

Na prawo:
Piechota pod osłoną dział pancernych dających ognia na wszystkie strony porusza się naprzód...





Z wielką szybkością posuwa się naprzód szturmowe działo pancerne, które ma za zadanie ochronę piechoty i rozbicie bolszewickich punktów oporu.





Działo szturmowe wystrzelało w niedługim czasie wszystkie naboje, zostaje zaopatrzone, pod obstrzałem Rosjan, w nowy zapas i podejmuje atak na nowo.



3
...Podczas gdy działa szturmowe zmieniają stanowiska aby zaatakować bolszewickie obronne działa pancerne, stojące na skraju wioski.

4
Motocyklowi strzelcy piechoty pokonali w międzyczasie leżących na przedpolu strzelców bolszewickich, a resztę żołnierzy, którzy się poddali dopiero wtedy, gdy Niemcy podeszli na odległość kilku metrów, wzięli do niewoli.



Pancerna artylerja szturmowa w natarciu!





Bolszewiccy strzelcy wyborowi, którzy ukryli się w łanie zbożowym, zostali wypatrzeni przez niemieckich strzelców motorowych i unieszkodliwieni. Tymczasem terkoce sucho i nieustannie karabin maszynowy mający osłonić niemiecki oddział wywiadowczy, wdzierający się do wsi. Wieś została już opuszczona przez bolszewików, ale mimo to maszeruje się coraz dalej, ciągle dalej, ciągle na tyłach nieprzyjacielskich, ciągle walcząc.

Sukcesy niemieckiej siły zbrojnej są tak olbrzymie, że nawet głosy amerykańskie muszą to przyznać, a jednak jakiś szalony pismak angielskiego czasopisma „Sunday Chronicle" potrafił napisać w ten sposób: „Tę wprost nadludzką odwagę i bohaterstwo żołnierza niemieckiego można tylko w ten sposób wyjaśnić, że chirurdzy niemieccy usuwają żołnierzom niemieckim w Lipsku, tak od ręki, przez małe nacięcie w okolicy skroni nerwy lęku z mózgu."

Fot. Ass. Press — Roth



ŚWIETNY PŁYWAK

Nadeszło gorące lato. Słońce niemiłosiernie, upalnie lało potokami promieni z błękitu nieba. Natura zda się dyszała żarem...

Po rzekach i stawach zmęczeni ludzie używali orzeźwiających, zdrowych kąpieli...

Raz po raz rozlegały się śmiechy i nawoływania. Słychać było plusk wody i przyśpieszone oddechy pływaków...

Stałem nad stawem i przypatrywałem się pływackim wyczynom dziarskich młodzianów...

Sam bowiem nie umiałem pływać, więc cóż ostatecznie miałem robić?...

Otóż stojąc tak nad brzegiem stawu przypatrywałem się pływakom i zazdrościłem im umiejętności pływania z całego serca...

— Ot, ten tam naprzykład, — robiłem w myśli uwagę, patrząc na jednego z młodzieńców — co za świetny pływak! Jaki styl, cudownie, cudownie!

I poraz pierwszy zastanowiłem się logicznie: „Dlaczegoż to ja nie mogę być takim „świetnym pływakiem"?

Przypomniałem sobie przysłowie mojej ciotki, panny (oczywiście nie na wydaniu), która zawsze mawiała że: „kto do czego dąży, to i umieć musi"... A więc...

Całą noc nie spałem, rozmyślając nad tą sprawą.

Rano wstałem, zjadłem śniadanie i z namaszczeniem wziąwszy pod pachę kostium kąpielowy, wyszedłem dostojnym krokiem...

Plan cały już z góry miałem ułożony. A że kolega mój Tadek był mistrzem w pływaniu, więc.. — On mnie nauczy i basta!...

Gdy tylko pojawiłem się u Tadka, wpadłem w dobry humor, słuchając jego opowiadań. Projekt mój przyjął z entuzjazmem.

— Nie wyobrażasz sobie — mówił, żywo gestykulując — co za rozkosz być unoszonym w dal na grzbietach fal, mieniących się barwami!...

Ani się spostrzegłem jak przyszliśmy na miejsce.

Mistrz mój udzielił mi praktycznej rady, aby przed wejściem do wody natrzeć dobrze mięśnie, celem uodpornienia ich przeciw skurczowi. Wziąwszy więc trochę wody natarłem się dobrze i wszedłem do stawu. — Trochę zimno, ale co robić... Muszę się przecież nauczyć pływać!

Tadek znów zaczął mówić, ni w pięć ni w dziewięć o jakichś trampolinach, skokach i innych rewelacjach. Słuchałem z uwagą, nic nie rozumiejąc. Nakoniec mistrz mój począł objaśniać z namaszczeniem o początkowych zasadach pływania.

— Szybko poruszaj nogami i rękami, oddychaj regularnie co pięć sekund!

Rozpocząłem pływanie. Nie mając w wodzie zegarka, oddychałem pięć razy na sekundę (mała różnica, przestawienie cyfry), a co do poruszania rękami i nogami, to lepiej nie mówić. Dość na tym, że cała moja osoba wykazywała skłonności do utopienia się (bynajmniej nie w zamiarze samobójczym, ale zawsze płynąłem na dno). Zakrztusiłem się wodą i wyszedłem na brzeg.

— Wiesz co, Tadek, może nauczyłbym się lepiej pływać stylowo?...

— Świetnie — przytaknął. — Przejdziemy pokolei wszystkie metody stylowego pływania, wybierzesz sobie najłatwiejszą!

— Jaka więc jest najłatwiejsza metoda nauczenia się stylowego pływania?

— Hm — odparł zamyślony — to zależeć będzie od twoich zdolności pływackich.

— O zdolności kłopot najmniejszy, ale jak sądzisz o tych stylach?...

— Według mojego zdania najlepiej pływać „po rosyjsku"... Ot, tak!...

Tadek wskoczył do wody i począł płynąć lekko i zwinnie, wyrzucając naprzemian ramiona. Po chwili przypłynął z powrotem. Teraz moja kolej...

Począłem trzaskać nogami jak śruba okrętowa, z tą jednak różnicą, że każdy okręt płynie zwykle naprzód, ja zaś stałem w miejscu. Nie zraziłem się tym zbytnio i ponowiłem próbę. Wynik był taki sam jak poprzednio, dodatek stanowił jedynie wykrzyknik:

— Och! jaka ta woda niedobra!...

Wróciłem zmęczony.

— Tadziu — rzekłem prosząco — a może by tak „po marynarsku"?...

— Pływa się tak samo jak crawlem — zanurzając głowę pod wodę na przeciąg trzech sekund — objaśnił Tadzio.

Płynąłem „po marynarsku" jak prawdziwy marynarz, tylko... że też muszą być takie duże fale!

— No, widzisz — wołał Tadek zachęcająco, — już znacznie lepiej!

— Więcej trochę wynurzaj głowę z pod wody! — O, teraz już zupełnie dobrze!

Płynąłem jakieś dwa metry rzeczywiście całkiem nic nie, gdy wtem niespodziewanie pomyliłem sobie rachunek...

Nadpłynęła siódma fala, a ja pod wodę!

Rezultat był świetny: dalsze pół litra wody bulgotało w żołądku.

— Tfu, jaka ta woda słona!

Zwróciłem się do Tadka:

— Słuchaj-no — mistrzu ceremonii, lepiej będę pływał „w znaka", co, jak myślisz?...

— Nie „w znaka" tylko „na wznak" — poprawił uroczyście. — Bezwątpienia, jest to najbardziej praktyczny sposób pływania. Wypręż się cały i poruszaj równocześnie rękami i nogami, odpychając wodę. Między ruchami chwytaj powietrze. — Tylko ostrożnie!

— Niech będzie co chce — pomyślałem w duchu — ja pływać muszę!

Wyprężyłem się cały i odbiłem od brzegu...

W uszach czułem szum wody, bałem się okropnie, ale śmiało płynąłem dalej...

W tym wielka fala zalała mi twarz...

— Gvvvill... — wybełkotałem niewyraźnie, chwytając zamiast powietrza wielki haust wody...

Otoczyły mnie nieprzeniknione ciemności, w głowie uczułem żar i łomotanie...

...Straciłem przytomność...

Po przebudzeniu westchnąłem żałośnie, i ciężko otworzyłem oczy. Leżałem w swoim własnym łóżku. Na głowie miałem zimny kompres, a w nogach kamienną, nieznośnie gorącą butelkę.

W około łóżka stała cała moja rodzina, a pan doktór z zatroskanym obliczem liczył uderzenia pulsu...

Pierwsze słowa, które dosłyszałem po przebudzeniu, wymówiła ciotka (ta panna nie na wydaniu):

Byłby się biedak utopił jak nic, gdyby nie Tadzik...

— ...A tak chciał być „świetnym pływakiem" — dodała z westchnieniem...

Spojrzałem na nią nienawistnym wzrokiem.

W odpowiedzi na uwagę ciotki, w pokoju rozległy się głośne lamenty i płacze całej rodziny...

Zenobiusz

JESZCZE O SNACH

— I po co nam mówić o snach. Sny, to są bzdury — orzekł „Tupcio" — ten sam pełen tupetu „Tupcio" z ławy szkolnej — a obecnie wyłysiały i wyszczekany adwokat.

Zjazd koleżeński.

Osiemnastu podtatusiałych jegomościów siedziało przy suto zastawionym stole, a każdy z nich pytał się siebie po kiego licha tu siedzi i czy jakakolwiek nić sympatii łączy go jeszcze z tymi dawnymi kolegami.

— Jestem wręcz innego zdania — odpowiedział „Babrała" — obecnie malarz wszechświatowej sławy. Mistyk z dużymi, spłowiałymi oczami. — Przeciwnie. Sny i przeczucia są jakby naszymi Aniołami Stróżami, naszymi dobrymi wróżkami. Dają nam możność zdobycia stanowiska, sławy, majątku, znaczenia, lecz trzeba umieć je sobie tłumaczyć. A nie łatwa to sprawa. Otóż, na potwierdzenie mych słów, dam wam jeden przykład — a głowę daję, że — jak jest was tutaj siedemnastu — żaden nie rozwiąże jak należy rebusu mego snu. Czy byliście kiedy w Monte Carlo?

— Ma się rozumieć — odpowiedziano chórem. — Też pytanie. A któż tam nie był...

— Zgrywałem się w tej budzie jak szewc, aż tu śni mi się pewnej nocy, że wchodzę do kasyna, jak codzień, a wszyscy gapią się na mnie z rozdziawionymi gębami. Dlaczego? Co? I oto spostrzegam, z niemałym zażenowaniem, że nałożyłem marynarkę na lewą stronę, podszewką do góry...

I urwał.

— To jest właśnie mój rebus — podjął po chwili — więc zastanówcie się, proszę, i powiedzcie mi, jakbyście sobie ten sen tłumaczyli i na jaką szansę stawiali pieniądze?

Roześmiano się.

— Ależ nam klina wpakował — poklepywali się koledzy po łopatkach. — Warto pomyśleć...

Nastało dłuższe milczenie.

— Kawały — mruknął Tupcio po paru minutach skupienia. — Przecież to sensu nie ma. Co ma piernik do wiatraka. Garnitur nałożony na lewą stronę nic nie ma z grą wspólnego.

— A jednak miał — uśmiechnął się malarz. — Ja się nie zawahałem...

I spytał:

— No, jakżeż tam! Czy żaden z was nic jeszcze nie wymyślił?

— Nie. Dajemy za wygrane. Powiedz, powiedz...

— Podszedłem do stołu „trente-et-quarante" i postawiłem dwa ludwiki na „inverse"....

Nastąpił wybuch entuzjazmu.

— Ależ spryciarz! Przecież „inverse" znaczy „na opak". Że też to żadnemu z nas nie przyszło do głowy, a takie proste! No, i dużo wygrałeś?

— Majątek. Złapałem passę z trzynastu. Sześć razy zgarnąłem maksimum, a wszyscy gapili się na mnie z rozdziawionymi gębami...

— Szczęściarz — westchnął „Kakofonia" — obecnie skrzypek i kompozytor modnych szlagierów. — Ja również wierzę w sny. I jak jeszcze, lecz, niestety, brak mi nieraz wyczucia. Mylnie je sobie tłumaczę, a orientuję się dopiero po fakcie. Pamiętam, że sen kosztował mnie grube pieniądze...

— Jakżeż to było?

— Będąc nad morzem, w Brighton, śni mi się, że czarny byk wygrywa Derby. Następują zwykłe owacje. Brawa, oklaski, krzyki... Lecz czarny byk jest w bardzo złym humorze. Łypie przekrwionymi ślepiami, pochyla łeb, rzuca się na sędziowską trybunę i rogami roznosi ją w proch. No, i obudziłem się.

Odchrząknął.

— A chyba coś wiecie o manii Anglików do zakładów, a ja również mam tę manię. Zakładam się o wszystko i ze wszystkimi. W kilka godzin po przebudzeniu, wygrzewając się na plaży w gronie znajomych zgadało się o Derby. A znałem na pamięć wszystkie nazwy zapisanych do tego biegu koni. Pomiędzy nimi był koń „Blackhorn" czyli „Czarny róg", więc pewien byłem, że właśnie ten wyśniony czarny byk jest tym koniem i zwycięzcą. — Kto chce się ze mną założyć o każdą sumę, że Blackhorn wygra — odezwałem się nie w porę. Długo czekać nie potrzebowałem. Pięciu panów wyciągnęło do mnie dłonie. No, i zaangażowałem się na sumy przekraczające o wiele moje możności.

— I co dalej?

— Rozumiecie z jakim niepokojem śledziłem przez lornetkę przebieg gonitwy. Lecz wszystko szło jak po maśle. Blackhorn przyśpieszał tempo i pomaleńku wysuwał się naprzód. No i... pierwszy przybył do mety.

— Kpisz sobie z nas. Więc gdzież te straty?

— Poczekajcie. Zapominacie, że mój czarny byk był w bardzo złym humorze i rozniósł rogami sędziowską trybunę. Zaledwie miałem czas wykrzyknąć: wygrałem! — drewniana, sztywna ręka — znak protestu — zawisła mi nad głową jak miecz Damoklesa. Zdyskwalifikowano zwycięzcę.

Hazet

NIEZAWODNY SPOSÓB

W pewnej gospodzie w Genewie wybuchła pomiędzy gośćmi siedzącymi przy jednym stole bójka, spowodowana różnicą poglądów. Ku zdumieniu a następnie uciesze gości, wmieszała się do bójki młoda dziewczyna, towarzyszka człowieka, który zaatakował swego współtowarzysza przy stole. Zaczęła ona okładać napadniętego tak gwałtownie, że ten, nie mogąc się obronić, ratował się ucieczką. Chcąc oddać jednak choć w części ciosy otrzymane, zdarł dziewczynie kapelusz z głowy i chwycił ją za włosy. Jakież było jego zdumienie — naturalnie wszystkich gości również — kiedy okazało się, że dziewczyna ta miała zamiast włosów perukę i że była właściwie mężczyzną przebranym za kobietę.

W trakcie dochodzeń okazało się, że Georgette Durand — takie nazwisko przybrała rzekoma dziewczyna — nazywała się de facto Georges i że był to leń skończony, który zawsze wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy, przebierał się za dziewczynę i zbliżał się do mężczyzn, by wyłudzić od nich pieniądze i zaproszenia na obiady i kolacje. Kiedy się już najadł porządnie, żegnał się, umawiając się na następny dzień; naturalnie nigdy się na „spotkanie" nie zjawiał. Jak by nie było, znalazł sobie doskonały sposób zarobku. Historia ta jest bardziej śmieszna niż tragiczna i nie budzi naszego oburzenia lecz śmiech.



LA GUARDIA W HEŁMIE OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ

Żydowski nadburmistrz Nowego Jorku otrzymał w podarunku nowy hełm stalowy z Londynu. Zaiste godne uczczenia dyrektora obrony narodowej.

Fot. Ass. Press



MODA WOJNY BŁYSKAWICZNEJ W USA

Te mundury oglądał La Guardia w organizacjach żeńskich, zaciągniętych do obrony. Z lewej do prawej: mundur komendantki bloku, siostry czerwonego krzyża, lotniczki do pracy, siostry do pomocy, pracownicy w schronie, panny z kantyny.





Wojskowy dowódca Galicji generał v. Roques przekazuje okręg galicyjski Generalnemu Gubernatorowi.

W budynku byłego sejmu galicyjskiego we Lwowie, dokonał minister Rzeszy Generalny Gubernator dr. Frank uroczystego przyłączenia dystryktu Galicji.

Fot. Ass. Press 3
Rösner 3

Nowy dystrykt Galicja

Prawie przez dwa stulecia należała austriacka wówczas Galicja do obecnego obszaru Rzeszy, przy czym doszła do rozkwitu i dobrobytu. Przy ustaleniu granicy po ukończeniu kampanii w Polsce w jesieni 1939 r. przypadł Lwów i Galicja Rosji, która także tutaj usiłowała zaprowadzić swoją kulturę sprzeczną z europejską kulturą i swe idee bolszewickie, terroryzując przy tym w niemożliwy sposób ludność. Gdy wreszcie Niemcy wraz ze zjednoczonymi z nimi innymi narodami Europy wystąpiły do walki przeciw bolszewizmowi, a żołnierze Adolfa Hitlera przez rozbicie armii sowieckich przepędzili i odparli niebezpieczeństwo bolszewickie, zostały Lwów i Galicja znowu uwolnione od okropnej gospodarki bolszewickiej i czerwonego terroru. Na rozkaz Führera z dniem 1 sierpnia 1941 stała się Galicja częścią składową Generalnego Gubernatorstwa.

Świadkami tego uroczystego aktu, który się odbył w gmachu byłego sejmu we Lwowie odświętnie ozdobionym flagami, byli głównodowodzący słowackiej armii, generał Catlos i węgierski marszałek polny porucznik Szombethelyi. Generalny Gubernator dr. Frank przejął obszar Galicję od dowódcy wojskowego generała piechoty von Roquesa i oddał w zarząd ten nowy dystrykt gubernatorowi dr. Laschowi. W specjalnej proklamacji do ludności Galicji Generalny Gubernator dr. Frank między innymi wypowiedział te słowa: „Na rozkaz Führera jako Generalny Gubernator włączam w tej godzinie Galicję w skład Generalnego Gubernatorstwa i zapewniam jej przez to opiekę Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Żołnierze Adolfa Hitlera nie szczędząc najcięższych ofiar uwolnili Was od systemu mordu, terroru, stanowiącego wieczną hańbę kultury. Potężna Rzesza niemiecka wzięła Was w swą opiekę. Imię Adolfa Hitlera jest rękojmią, że te czasy grozy więcej nie powrócą. Wszelkie bezprawie, które Was spotkało będzie w miarę możności wynagrodzone. Wasza własność prywatna będzie wam zwrócona, możecie również swobodnie oddawać się praktykom religijnym. Galicja wróciła do związku Rzeszy ,który umożliwiał rozwój Waszego kraju.

Wzywam Was, byście w pełnym zaufaniu do Führera i mianowanych przez niego ludzi oddali się spokojnie i beztrosko Waszej pracy, by mógł zapanować już teraz w Galicji ten porządek, który oznacza dla przyszłych pokoleń, dobrobyt i szczęście. Niech Bóg błogosławi dziełu, które wspólnie rozpoczynamy."

Nawiązując do mowy Generalnego Gubernatora dr. Franka, przejął nowomianowany dr. Lasch dystrykt Galicję i zaznaczył, że zarządzanie tym krajem i jego ludnością powinno doprowadzić w dziedzinie kulturalnej, gospodarczej i socjalnej do dobrobytu kraju i narodu tu mieszkającego. Nowy niemiecki zarząd będzie się starał w miarę sił leczyć rany zadane i dać dystryktowi, jako części składowej Generalnego Gubernatorstwa pod ochroną Rzeszy niemieckiej, możność korzystania z dobrodziejstw nowego porządku Europy.



Po wkroczeniu niemieckich wojsk, jedna z mieszkanek Lwowa dziękuje Bogu za oswobodzenie od terroru bolszewickiego.



Nowomianowany gubernator dystryktu Galicji dr. Lasch odbiera dystrykt od Generalnego Gubernatora.



Odchodzące wojska sowieckie podpaliły Lwów w kilku miejscach. Ilustracja przedstawia Lwowian modlących się przed statuą Zbawiciela.



DROGA POCHODU





Artyleria niemiecka posuwa się wzdłuż falujących łanów zbożowych ku wytyczonemu celowi na wschodzie. Ciężkie działa ciągnione są przez kilka zaprzęgów koni.

Na lewo:
W pogodę i niepogodę, wśród kurzu i błota odbywa nieraz swą drogę niemiecki łącznik meldunkowy. Wszystko to nie stanowi jednak istotnych przeszkód. Zostają one pokonane śpiewająco, nawet jeżeli twarz tego łącznika meldunkowego wygląda po takiej jeździe tak jak to widzimy na naszym zdjęciu obok.

Na prawo:
Zmotoryzowane kolumny niemieckie przeciskają się niepowstrzymanie naprzód, mimo że zniszczone czołgi rosyjskie tamują pół drogi.



Nawet wzdłuż drogi poznaje się dobrymi przyjaciółmi, mimo kurzu i żaru słonecznego, byleby tylko dojść do celu.



Na prawo:
Uciekinierzy jednej z wiosek rosyjskich zamienionych przez żołnierzy sowieckich na ośrodek oporu wracają z powrotem do zburzonej wsi rodzinnej. Z płonących zgliszcz sterczą jedynie jeszcze tylko dymiące kominy.

Na prawo:
Ten żołnierz sowiecki siedział zaczajony na drzewie na żołnierzy niemieckich. Wkrótce został on jednak spostrzeżony i teraz idzie z podniesionymi rękami do niewoli niemieckiej.





Na lewo:
Wśród ruin i bijących w niebo pożarów, wzniecanych przez cofające się wojska bolszewickie, odbywa się droga niemieckich zmotoryzowanych oddziałów SS. To była wioska rosyjska, którą spaliły wojska sowieckorosyjskie.

Fot. Ass. Press 5
Scherl 4
Atlantic 2

U dołu:
Także i to zburzone miasto sowieckie nad Dnieprem na drodze Mińsk—Moskwa, z palącymi się ruinami nie stanowiło żadnej przeszkody dla pochodu niemieckiego. Po szerokiej szosie toczą się niemieckie auta ciężarowe do swego celu.



Na lewo:
Wozy, ścierwa końskie i trupy żołnierzy sowieckich, porzucona broń i inny sprzęt wojenny leżą na rosyjskiej drodze odwrotowej porzucone jedno na drugim, tak jak trafiła to wszystko celna artyleria niemiecka.

Na prawo poniżej:
Byłby to piękny widok, gdyby nie był tak smutny. Posuwającym się naprzód żołnierzom niemieckim przedstawia się wciąż ten sam obraz. Ze zgliszcz zburzonych przez sowieckie wojska wsi i miast biją w niebo słupy płomieni ognia. Ten niszczący nie powstrzymany bolszewicki szał niszczycielski szkodzi jednak tylko mieszkańcom tego kraju, a nie posuwającym się naprzód wojskom niemieckim.



U dołu:
Wciąż i wciąż składają żołnierze bolszewiccy broń i nadbiegają z rękami podniesionymi w górę przed linie niemieckie, aby się poddać. Gdyby [illegible] wszystkich należących do armii bolszewickiej a zbiegłych do niewoli niemieckiej żołnierzy rosyjskich, musiałby zacząć od siebie samego.



Europejski front skierowany przeciw bolszewizmowi rozciągnięty jest od Przylądka Północnego do Morza Czarnego, co obejmuje długość około 3000 kilometrów. Jest to zdaje się najdłuższy front wszystkich czasów w ogóle. Na froncie tym stanęło do walki po dziewięć milionów żołnierzy z każdej strony. Z tych dziewięciu milionów żołnierzy armii bolszewickiej wielka jej część została w międzyczasie już zniszczona przez ostrze miecza niemieckiego. Wojska niemieckie przebyły walcząc na wschodzie przestrzeń, w porównaniu z którą obszar Francji przedstawia tylko część. Żołnierze niemieccy przeprowadzili olbrzymie marsze, mimo że drogi, po których się poruszali, były bardzo często w najgorszym stanie i mimo że dowództwo bolszewickie usiłowało przy pomocy niejednej przeszkody jak również za pomocą dawno już zniszczonej linii Stalina powstrzymać ten pochód niemiecki lub zgoła go uniemożliwić. Ale droga pochodu armii niemieckiej i sprzymierzonych z nią wojsk wszystkich innych narodów Europy stała się już dawno drogą odwrotu dla rzekomej potęgi militarnej Rosji. W dalszym ciągu posuwa się pochód wojsk niemieckich i sprzymierzonych coraz dalej aż [illegible] niebezpieczeństwo bolszewickie [illegible] Europie zostanie na zawsze zażegnane.

i DROGA ODWROTU





Mistrz dusz

Napisał
Gjuro Vilović

12 ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

STRESZCZENIE DOTYCHCZASOWYCH ODCINKÓW:

Do wsi Vrela, prowadzącej od 57 lat walkę z proboszczami przychodzi nowy proboszcz, don Lovro, który przez swój osobisty urok, godzi wieś z diecezją. Don Lovro opuścił dawną parafię dlatego, że mieszka tam nauczycielka Maja, która kocha księdza i którą też ksiądz kocha. Kancelaria biskupia, zdumiona tak prędką zmianą nastroju we wsi Vrela, przysyła proboszczowi wikarych na naukę władztwa dusz. Jednakże służący proboszcza i zarazem jego kucharz i zaufany, Vito, obawiając się, by przez przybycie tych wikarych nie zmniejszył się wpływ proboszcza na ludzi, doprowadza do tego, — sposobami zupełnie zresztą niewinnymi — że kapelani opuszczają dobrowolnie wieś. Trzeci kapelan zdobywa sobie jednakże miłość wsi i to nie tylko dzięki osobistemu urokowi, lecz także dzięki głębokiej wierze, która z niego promieniuje. Nauczycielka Maja przysyła tymczasem list za listem, w których tęskni za don Lovrem i w których daje mu poznać, że opuszczenie dawnej parafii było ze strony don Lovra aktem ucieczki przed nią, co jest zgodne z prawdą. Don Lovro, jedzie do niej na kilka dni, potem wraca. Tymczasem toczy się życie we Vrelach swoim trybem, wieś podzieliła swoje uczucia pomiędzy obu księży, co bardzo martwi Vita, zazdrosnego o powodzenie swego pana. Po kilku miesiącach proboszcz otrzymuje list od Mai, w którym ta donosi mu, że zostanie matką. Don Lovro jest przerażony, gdyż fakt ten uważa za przeszkodę dla swojej działalności kapłańskiej. Chcąc zyskać na czasie, wyjechał z wycieczką do Ziemi Świętej. W międzyczasie Maja zjawiła się na plebanii i czeka na niego. W krótce proboszcz wrócił.

W BIBLIOTECE

Mała sionka od schodów do okna dzieliła proboszczową sypialnię od biblioteki, z której można było przejść do „biskupiego" pokoju, ten zaś miał dostęp do bocznych ubikacyj. Wszystko to tonęło w półmroku grubych murów i grubych zasłon w oknach.

Don Lovro zamieszkał w bibliotece. Vitowi rozkazał, aby tutaj przynosił jedzenie dla niego i dla Mai.

Pokój ten nigdy nie zdał się proboszczowi tak chłodnym, przestronnym i pełnym cienia. Nigdy przedtem nie zauważył że mnogie grzbiety oprawnych ksiąg są ciemne, apatyczne i zimne. Tak jak i szyby wszystkich trzech szaf. Obrazy po ścianach wydały mu się bez żadnego znaczenia, jedynie tylko święty Dalmatyniec Hieronim z piórem w ręce i lwem pod nogami zdał mu się wojowniczym i usposobionym jak lew. Jak gdyby on jedyny żył w tym półmroku, który stawał się coraz to gęściejszy.

Maja z dzieckiem jak gdyby po prostu straciła się w przestrzeniach wielkiej plebanii o ośmiu pokojach.

Vito zachodził czasem, aby zobaczyć, czy Maja czego nie potrzebuje. Kapelan nie widział jej jak tylko przez chwilę w momencie przyjazdu na plebanię.

Gdy Don Joso wrócił z kościoła, oznajmił mu Vito, że proboszcz wzywa go do biblioteki. Znalazł go przed wielkim stosem zamkniętych ksiąg.

— Przyszliście kapelanie?

— Vito mi powiedział, że mię ksiądz proboszcz wzywa.

— Że ja księdza kapelana wzywam? Jakże bym to mógł, kiedy mnie nie ma?

Don Joso uśmiechnął się i spojrzał proboszczowi w oczy.

— Nie ma księdza proboszcza, widzę, tu są same książki. Co mam przeczytać?

— Najprzód, młody przyjacielu, niech ci przedstawię moich gości.

Don Lovro wstał i zapukał do Mai. Gdy się odezwała, zapytał, czy może przyjąć kapelana.

Pozwoliła wejść i kapelanowi.

Don Joso wszedł pierwszy do pokoju i znalazł się przed Mają. Do tej chwili prawie jakby jej nie widział. Gdy wówczas w deszczową noc weszła na plebanię, nie widział w niej nic innego, tylko parę przepięknych, kobiecych oczu i słyszał jej cichy, melodyjny głos. Teraz stała przed nim bardzo młoda kobieta zupełnie dziewiczego wyglądu. Wydało mu się, że cierpienie nadawało miękkości temu pięknu, że ją oblewa ból przepięknej, smutnej madonny.

— Mój mały śpi... — szepnęła i przed kapelanem przystąpiła do łóżka, na którym maleństwo spało w błogości noworodka.

Młody człowiek zobaczył uśpione niewiniątko. Zobaczył śliczne, małe stworzenie, nowego człowieka i całą jego majestatyczną niewinność i bezradność.

— Śliczny jest — rzekł krótko lecz szczerze. Spojrzał jeszcze raz na matkę i na dziecko. Szukał słowa, zdania, jakie by powiedzieć młodej matce. Szukał czegoś krótkiego i mocnego, co by wyraziło to piękno, jakie odczuł w pobliżu tych dwojga słabych istot. Nic nie znalazł. Znalazł tylko uśmiech i pokazał Mai ten uśmiech bliźniego, uśmiech współczucia i szczerości. Doznał, że i z tym uśmiechem może się oddalić.

Znalazł się z proboszczem w bibliotece.

— Cobyście zrobili, kapelanie, gdyby wam taka kobieta przyniosła na plebanię wasze dziecko?

Don Joso nie odpowiedział.

— To jest moje dziecko.

— Wasze, księże proboszczu?

— Powiedziałem — szepnął Don Lovro i zapatrzył się w kapelana, śledząc każdy ruch jego oka, ust i drganie jego nerwów na twarzy.

— Nie wiem, co bym powiedział, gdyby była mowa o mnie. Może jestem wstrząśnięty zetknięciem z rzeczywistością, która nie jest codzienną, ale w tej chwili wydaje mi się, że nigdy nie rozstałbym się z nimi. Byłbym ich.

Proboszcz się uśmiechnął. Zauważył, że kapelan jest szczerze wzruszony i że wyraża się szczerze.

— Pragnę spełnić życzenie kobiety, aby mogła kilka dni pozostać z dzieckiem w pobliżu jego ojca. Mam nadzieję, że mi, księże kapelanie, dopomożecie w tej sprawie.

— Ile tylko mogę.

— Mnie nie ma. To jest ta rzecz, której wieś nie śmie wiedzieć. Dodaję zaraz, że jest możliwe, iż wieś was wplata w grę, bo wy jesteście tutaj.

Poezja musi być prosta

Poezja musi być prosta, jak pastusze granie,
jak zdrowy zapach razowego chleba,
jak polne kwiaty w zielonym dywanie
łąk — i blady błękit wiosennego nieba.

Poezja musi być taka z serca, bliska,
jak wiejskie strzechy rozsiadłe pod lasem:
poczciwa, wzruszająca, jak chłopskie koniska,
ciągnące biedne furki wyboistą szosą.

Ale nie słodko-ckliwa i nie wychuchana,
słaba, wymiękła, bez rumieńców życia,
tylko radosna, mocna, rozhukana,
jak złota młodość w swobody zachwycie.

Musi mięśni porosnąć twardymi sękami,
dławić się musi głośnym hukiem młotów,
srebrne gwiazdy przerażać myśli wybuchami,
i powietrze targać, jak pęd samolotów.

Niech zedrze suknię zjedzoną przez mole
rzewnych nastrojów, dreszczy, sentymentów —
i niech zapachnie, jak orane pole,
prawdą, — bez głupiej blagi i wykrętów.

Niech się nie sączy chorobliwa, blada,
mówiąca o czymś nieuchwytnym tchnieniem...
Hukiem potoku niech z serca zagada,
nienasyconym niech buchnie płomieniem.

I nie przybrana w kolory papuzie,
ani w jedwabie szeleszczące, drogie,
ale w siermiędze szarej, robotniczej bluzie —
ma iść do ludzi małych i ubogich!

Ma być dla wszystkich prosta, zrozumiała.
wszystkim dostępna — nie małemu gronu;
porywająca, zwycięska, wspaniała,
promienną gwiazdą zmagań — odrodzona!

M. K.

— Wiem, że wieś już mówi o mnie.

Don Lovro się targnął. — I nie boicie się?

— Nie. Domysły i gadania wsi nie stoją w żadnej mierze z moją pomocą, aby dziecko i matka pozostały jak najdłużej przy was, przy ojcu.

— Dziękuję. Będę boleć, jeśli będziecie żałować. Ja uczynię wszystko, aby pozostali tutaj tylko dopóty, dopóki to będzie możliwe, bez szkody dla mnie i dla was. Mnie nie ma i dopóki wieś wierzy, że mnie nie ma, łatwo mi pójdzie. A wy, kapelanie, powiedzcie mi szczerze, gdy wam będzie dość. W pierwszej chwili niebezpieczeństwa wyprawię ich.

— Dokąd?

— To nie jest ważne. Ważnym jest, aby na mnie nie padło podejrzenie, że ona tutaj pozostaje w jakimkolwiek związku ze mną.

— Chociażby nawet z ich szkodą i cierpieniem? — zaniepokoił się młody człowiek i wpatrzył się w Don Lovra, oczekując widocznie odpowiedzi.

— Choćby nawet...

— Don Lovro!? — w okrzyku kapelana czuć było zdziwienie, zaskoczenie i żal. — Tego ksiądz proboszcz nie uczyni.

— A co byście wy uczynili, kapelanie?

— Spełniłbym swój obowiązek — była krótka i zdecydowana odpowiedź.

— Obowiązek? Naturalnie, tylko nie wiem, który to obowiązek jest w tej sytuacji? Oczywistym jest, że są dwa i że są sprzeczne: obowiązek człowieka i obowiązek kapłana, pasterza dusz, opium wsi. Jako dla człowieka pierwszym dla mnie musiałby być ten, aby tym dwom słabym istotom dać pełnię obrony w słabości, jakiej przyczyną sam się dla nich stałem. Jako pasterz wsi...

— Bliższy nam jest ów obowiązek człowieka, bezpośredniejszy, z silniejszymi konsekwencjami.

— Bliższy, dalszy, najpierw, później... To są słowa. Trzeba zważyć rzeczywistość. Jeśli spełnię obowiązek człowieka, znajdę się w niezgodzie z obowiązkiem duszpasterza. Co by wieś powiedziała? Co by wieś odczuła? Odczułaby najpierw, że jestem obnażony, skompromitowany i bez siły. Po tym wszystkim spadłbym poniżej poziomu moich poprzedników w ostatnich 57 latach. Stałbym się niemożliwym i zbytecznym. Byłbym światłem, które nie świeci, solą rozsypaną po drogach, opiumową materią, która więcej nie upija. Niczym. Jako człowiek — nic nie mogę, nic. Cóż mógłbym uczynić dla tych dwojga słabych istot, ciążących na moim sumieniu?

— To, co robią wszyscy inni ludzie.

— Nie. Proszę usiąść, uspokoić się. Może wam to wyjaśnię w chłodnym rozczłonkowaniu rzeczywistości. Dwa momenty wchodzą tu w grę: ja i moja misja. Oba są bliskie i oba są ciężkie. Ja? Ja czuję, że jestem człowiekiem, całkiem zwyczajnym człowiekiem ze wszystkimi złymi i dobrymi skłonnościami i tęsknotami człowieka. Jako naturalny człowiek chciałbym i ja być kochanym i kochać. I we mnie też zagra radość, gdy poczuję, że jestem ojcem. I we mnie też tkwi pragnienie reinkarnacji. Powiedziałem dziwne, może za obszerne słowo, lecz myślę, że mnie rozumiecie, księże kapelanie; jest to pragnienie, tkwiące w nas wszystkich, aby zejść z tej wyniosłości, a powrócić w skórę całkiem zwykłego, małego, kochanego, przyrodzonego człowieka, którego pierwszym powołaniem jest zapłodnić, wychować i umrzeć. Sprzyja temu owa świadomość ojcostwa, świadomość miłości... I we mnie krzyczy ta elementarna radość i pragnienie, bym wziął na ręce swój płód, wzniósł go wysoko i pokazał słońcu i światu:

— Oto mój syn, moje dziecię...

Czy ja to mogę, czy mi to wolno? Byłoby to bankructwem mojej misji, a moja misja jednak nie jest dla mnie tylko zawodem i robotą, jest wzniosła. Ja kocham wieś. Czuję, że jestem jej potrzebą i że muszę pozostać na stanowisku długo: ja, albo mój następca. Długo, dopóki wieś przyjmuje to jako swoją niedzielę, kąpiel, podniesienie i jako pręcie Jakubowe w służbie Labana.

— To są iluzje, namiastki, instytucje... — wtrącił kapelan.

— Powiedzmy i tak. A czy macie lepsze? Co możecie polecić wzamian za to? Kto tu decyduje? Wieś! Ona musi żądać zmiany, jeśli spostrzeże, że to nie ma wartości. To, co nazywacie iluzjami i namiastkami, to jest rzeczywistością dzisiejszej wsi. Ta wsiowa rzeczywistość nie chce nas widzieć takimi jakim jest jej człowiek. Ona ucieka przed naszą reinkarnacją. Ona chce, byśmy byli jej opium, jakąś dziwną dekoracją, którą przyprawia i stroi swoją znojną codzienność. Wywyższa nas, upostaciowuje nas może i monstrualnie, ale uważa, że ani z wyglądu, ani nawet w jej przypuszczeniu nie może być jednakowym z jej człowiekiem ten, kto pośredniczy między nią i niebem. Ona stwarza jakiegoś czarodzieja, jakiegoś bezosobistego człowieka w czerni, bez erotyki, bez potomstwa, jakiegoś czarownego młodzieńca, który pośredniczy między niebem, Bogiem i nieznanym. Ona żąda naszej bezosobowości, ona nie chce, byśmy byli ludźmi, lecz instytucją. Mam się jej ukazać jako zwyczajny człowiek, ojciec, a ona wie, jak się zostaje ojcem...?

— Ksiądz proboszcz stał się nim. Jest człowiekiem jak i inni.

— Więc?

— To jest waszą prawdą, księże proboszczu. To jest waszą prawdą. Jabym poszedł za prawdą i człowiekiem.

— Dokąd?

— Nie pytałbym o to. Szedłbym dalej...

— Dokąd? Wieś nie chce obnażonych świętych. U nas, upadłych, nie ma rehabilitacji. Nie pomoże mi ucieczka na inną parafię. Towarzyszy nam zła opinia jak cień i jak niespokojne sumienie. Kompromitacja pozbawia nas czaru i opiumowej siły. Nigdy już więcej nie jest z nas władca dusz, a gdy nie jesteśmy tym, to czymże jesteśmy? Wieś jest

o nas zazdrosna i nie chce się nami z nikim dzielić. Stajemy się niemożliwi...

— Jako opium dla wsi — tak, ale nie jako ludzie... Krok dalej, jeszcze dalej...

Proboszcz się szarpnął. Wpatrzył się w kapelanowe oczy i zbladł.

— Powiedzcie, mieliście na myśli: apostata?

— To człowiek, jak są i inni. To miałem na myśli.

— Hahaha Jakże to po młodzieńczemu powiedziane: z entuzjazmem i głupio. Nawet i to już dla nas jest niemożliwe. Nigdy już więcej nie może być w nas uznany człowiek! Możemy być albo opiumową materią, co coś warta i pali się, albo materią, którą się odrzuca, bo nie upija. Któż w nas uzna człowieka?

— Ja sam w sobie.

— To za mało. Przyznaję to i teraz, gdy popatrzę na to uśpione, niewinne dziecię. I ono mię uznaje, ale dopokąd? To nie wystarcza. Idzie się do końca i żąda wszystkich praw i wszystkich obowiązków przyrodzonego człowieka.

Apostata?

Ileż musiałbym zburzyć w sobie i wkoło siebie! Mogę zostać buntownikiem, rewolucjonistą, apostatą, ale tysiące i miliony nie uznają mnie człowiekiem. Będę dla nich tylko upadłym aniołem, opiumową materią, która więcej już nie upija. Tysiące plułyby po mnie, pluliby wszyscy ci, którzy wierzą, że jestem tutaj po to, żebym był dekoracją, pewnym urządzeniem dla ich człowieka. Nie myślę o wysiłku i walce, jakie musiałbym wytrzymać dla uznania mego człowieczeństwa, ale wątpię w powodzenie. Najpierw zastanówcie się trochę i przedstawcie sobie: z kimże i czym to miałbym walczyć? Najpierw rzuciłaby się na mnie najdoskonalsza organizacja świata i wieków: klątwą, wykluczeniem ze społeczności i prześladowałaby mię na każdym kroku, wytykając mię palcem. Nikt nie nienawidzi tak, jak nienawidzą ci, co nienawidzą w imię Boga i swego zlekceważonego uczucia. Nienawidziłyby mię miliony, całe kraje. Musieliby mię nienawidzić, bo stałem się negacją ich poezji, ich wartości i ich opium. Ten konflikt z milionami jest dla mnie zrozumiały i logiczny. Odrzuciłem to, co tylu uważa nie tylko za imaginarną świętość, lecz i za swoją potrzebę i piękno. Poniżyłem im te wartości i oni poczuliby się we mnie zelżonymi. Moje odejście byłoby obrazą i obelgą tego wszystkiego, czym się upija wieś, a nawet i wieś w wielkim mieście. Nie wiem, ale przeczuwam, że i w wielkich miastach jest dużo wsi. Nienawidziłyby mnie wszystkie wsie, a ja nie mógłbym znieść nienawiści wsi, bo kocham wieś, gdyż jest ona źródłem ludzi i piękna. Gdybym i to nawet przebrnął, cóżbym osiągnął? Błądziłbym sam, osamotniały, wyśmiany, niezrozumiany, piętnowany, jak gdybym popełnił kradzież albo stuprum.

W tej nienawiści i wzgardzie szukałaby wieś (także i wieś w wielkim mieście) naprawy, zadośćuczynienia za swoje zelżone wartości. Ścigaliby mię jak zapowietrzonego na kraj świata, a uspokoiliby się dopiero, osiągnąwszy satysfakcję: moje zatracenie, poniżenie, głód chleba... Żądaliby tego w imię Boga Boję się tych, którzy żądają, nienawidzą i prześladują w imię Boga, są bowiem nienasyceni i bezdenni i wiecznie są przekonani, że nienawiść ich jest dobra, Bogu i niebu miła. Nienawidząc mię i ścigając, wierzyliby, że wiją sobie gniazdo w sławie niebieskiej, w wieczności. To są bezdenni, nienasyceni przeciwnicy. Najokrutniejsze jest prześladowanie tych, którzy prześladują na rachunek boży.

Stałbym się człowiekiem nagim i znalazłbym się w misji nagiego człowieka, tak, lecz nikt nie pokazywałby na człowieka, ale tylko na goliznę. Byłbym mężem i ojcem jak i inni, lecz ci inni nigdy nie mogliby tego uznać, bo przez to umniejszaliby siebie. I tutaj i we wsi wielkiego miasta.

Byłbym dziwolągiem człowieka. Jakimś trwałym zgorszeniem, które włóczyłoby się między ludźmi, a oni plułyby po nim: ze wzgardą i lekceważeniem. A w końcu? Cóż ja mogę począć między ludźmi? Umiem być tylko opium dla wsi i niczym więcej. Cóżbym począł, gdybym już nie był wiejskim opium?

— Zdaje mi się, księże proboszczu, że za dużo stawiacie na tę dekorację, na to opium wsi... — wtrącił ciągle jeszcze wojowniczo nastawiony kapelan.

— Nie! Dla mnie jest jasnym, w tej chwili może jaśniejszym niż kiedykolwiek przedtem, jak ważną jest ta dekoracja. Jasnym jest to dla mnie w tej chwili, gdy czuję potrzebę, aby objawić i pokazać, że jestem rodzicem... W instynkcie tkwi objawianie tego. A komu? Oni wszyscy mają wszelką możliwość i nawet to, aby ich wydarzenie objawiły dzwony, ksiądz w białej koszuli i żeby to zapisał w grube księgi. On w imię Boga przyjmuje w całej swej paradzie ten ich mały, ale radosny płód. I nowożeńców, co się pobierają i nieboszczyków przy płaczu dzwonów, kościelnej czerni i żałoby misererów. Kościół i dzwony zwołują wieś, by jej obwieścić nowego chrześcijanina, nową parę, nowego nieboszczyka... Tutaj dekoracja chytrze i umiejętnie związana jest z naturą i dlatego jest ważna i pali... Chcą jej, bo im to potrzebne. Chcą jej tysiące, miliony.

— Nie obchodzą mię liczby. Obchodzi mię świadomość, że nie jestem ani wsiowym opium, ani dekoracją, ale człowiekiem.

— Mnie obchodzi życie.

— Cudze życie

— Nie, ono jest i moje. Ja kocham wieś, to jest źródło ludzi, moich ludzi. To jest część mojego narodu. Ja daję siebie dla powszechnego dobra mego narodu. Ofiaruję chętnie moją osobowość dla tych moich ludzi.

— Którzy piją opium i żądają dekoracji.

— Którzy żyją, rodzą i wyrywają się letargowi i wygłupieniu. Warto żyć i igrać, aby wieś była piękniejsza, pogodniejsza, krzepciejsza.

— I igrać...? Powiedział ksiądz proboszcz?

— Powiedziałem. Póki inne nie przyjdzie, wieś ma prawo do swego opium.

— Straszne.

— ?

— Nigdy dla wiejskiego opium nie zagłuszyłbym w sobie człowieka, ojca i obrońcy. Nie!

— Tak!

— Nie! — młody człowiek uderzył lekko nogą o ziemię i zaczerwienił się.

Zaczerwienił się i Don Lovro. Zaniepokoiła go myśl. która mu nagle wpadła do głowy:

— Dlaczego to ksiądz kapelan mówi? — wpatrzył się kapelanowi w oczy.

— Tak w tej chwili czuję — rzekł Don Joso z taką otwartą szczerością, że proboszcz cofnął się i szepnął:

— Myślałem, że dlatego, bo chcecie... — urwał i zamilkł. Myśl jego w pewnej chwili zaświeciła jak ogień bengalski: ten chce mię wykierować między apostatów, aby dla niego pozostała ta wieś...

Bengalski ogień zaczął wygasać, ale nie do dna Zostało podejrzenie:

— A może jednak? — Ponownie wpatrzył się mu w oczy i ciągnął głośno:

— Mam nadzieję, żeśmy się zrozumieli, choć nie możemy się zgodzić w tej chwili: szukam kompromisu w walce dwóch obowiązków: pragnę pomocy dla tych moich dwojga i pozostać tym, czym jestem we wsi.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Proszę liczyć na mnie do końca — powiedział kapelan.

— Dziękuję.

Rozstali się. Proboszcz pozostał w bibliotece, a kapelan, schodząc po schodach na dół, zapalił papierosa i począł go szybko i nerwowo ssać...

* * *

Trzy dni minęły bez żadnych wydarzeń. Wieś zachodziła na plebanię. Przyglądano się, nadsłuchiwano. Kapelan wychodził do kościoła, do wsi. Przechodził twardy i otwarty, jakim był i poprzednio Jego postawa i zachowanie były jedynym dementi tych licznych głosów, opowiadań i legend, jakie się rodziły po wsi, roznosiły się po wsi, po wiejskich, krętych drożynach, obejściach i w ciemnościach białych, łupkiem krytych dachów.

— Znowu płakało!

— Nie płakało.

— Ilija Stipin mówił...

— Maćilo przyszedł z miasta i tam mu powiedział jakiś wyspiarz...

— Co to mogą wiedzieć wyspiarze? Gdzie oni?

— Dziecko płacze na plebanii.

— Czyje też to?

— Proboszcza nie ma. Kto by to tak długo czekał na niego?

— To kapelanowe!

— Nic nie płacze na plebanii...

Jedni słyszeli, drudzy nie słyszeli. Jedni wierzyli. Wieś podejrzewała i nie miała sposobu, żeby wybadać, żeby się dowiedzieć Któż by się ośmielił przyjść z takim podejrzeniem na plebanię i zapytać otwarcie. Wieś zachodziła chytrze i kołując wymądrzale pytała:

— Kiedy wraca nasz ksiądz proboszcz?

— Wnet. Urlop mu się kończy. Wnet wróci — odpowiadał Vito.

— Nie można wiedzieć dnia powrotu?

— Nie można. Jeszcze nam o tym nie pisał.

Kapelan słyszał w dębowej kabinie, że wieś ma wątpliwości i podejrzenia co do płaczu dziecka na plebanii i że wszyscy ci, którzy wierzą i podejrzewają, łączą płacz tego dziecka z jego osobą.

Nie reagował. Nie chciał rozumieć.

— Jednak musi być coś na tym... — wnioskowały te, które nie doczekały kapelanowego usprawiedliwienia.

Proboszcz wzywał często Vita do biblioteki.

— Co słychać?

— Jak zawsze. Wieś podejrzewa i wybaduje.

— Co mówi kapelan?

— Nic. Pali, wesoły jest jak i przedtem. Nie smuci się, chociaż wieś mówi tylko o nim. Nie broni się, ale...

— ?

— Ja się go boję...

— ??

— On może przemówić... A jak przemówi...

— Vito, już i ja zaczynam się go bać pomału...

Kucharz otwarł oczy pełne strachu. Wpatrzył się w proboszcza jak skamieniały i usta otwarł.

— Ksiądz proboszcz też? W takim razie wszystko przepadło. Możeby dziś w nocy wyprawić gości?

— Myślisz, żeby trzeba?

— Boję się...

— Powiedz mi szczerze: dlaczego się ty boisz kapelana?

— Zaczyna mu być ciężko, podejrzenie pada na niego coraz bardziej, a znowu jak wyjawi wsi tajemnicę, to podskoczy w górę, a my upadniemy...

— Myślisz, że on chciałby tę wieś? Czy ci kiedy o tym mówił, czy też ty sam może co zwąchałeś?

— Nic mi nie mówił, ale ja wiem, że on nie głupi, a wiem też i to, że ta wieś jest wielka i bogata, więc kto by jej też nie pragnął? Jednym słowem może ją dostać.

— Jest on na dole? Powiedz mu, żeby tu przyszedł...

Kapelan piął się powoli po schodach.

Od drzwi biblioteki uśmiechnął się przyjacielsko i radośnie. Jak gdyby ponownie ugasił proboszczowe bengalskie ognie.

— Ksiądz proboszcz mnie wzywał? Dręczy co księdza proboszcza? We wsi nic nowego. — Don Joso uśmiechnął się ponownie. Widocznym było, że chciał coś powiedzieć, lecz się opanował.

— ?

— Ma ksiądz proboszcz dużo książek. Pomagają księdzu proboszczowi? Książki są najlepszym przyjacielem, a szczególnie te nabożne i ascetyczne, które mogą księdza proboszcza natchnąć niejedną mądrością, więc i tą: „Maledictus homo, qui confidit in hominem..." (Przeklęty człowiek, który zaufa człowiekowi!) Dzisiaj spotkałem się kilka razy z tą mądrością i myślałem o niej. Wiele rzeczy staje się dla mnie w ostatnim czasie śmiesznymi.

Proboszcz siedział bez słowa. Patrzył na młodego, pełnego radości człowieka i poczuł, że w tej chwili zupełnie go nie rozumie. Szydzi z niego? Dręczy go? Bał się go zapytać o cokolwiek... Ze strachem spojrzał jeszcze raz na człowieka, który go ma w garści, lecz w każdej chwili może ją otworzyć i upuścić go na ziemię.

LEGENDA O KOBIECIE, KTÓRA PODRZUCA...

Na plebanii powstało zaniepokojenie, znikł zupełnie chłód i nadzieja. Maleństwo w „biskupim" pokoju płakało z pełnej piersi i widocznie z bólu.

— Mały zachorował! — zawodziła Maja bezgłośnie, tracąc oczy i zmysły. Wpadała z „biskupiego" pokoju do biblioteki i z biblioteki do „biskupiego" pokoju. Patrzyła w proboszcza jak w potęgę, w niebo.

— Zachorował!

Don Lovro podniósł się blady i drewnianym krokiem przystąpił do maleństwa w łóżku. Zapatrzył się w to małe życie, rozfalowane w konwulsjach płaczu.

— Co go boli?

Człowiek odczuwa, jak ciężko jest dowiedzieć się, co boli dziecko. Ono płacze. Płaczem oznajmia wszystkie boleści podobnie jak i głód i mokro. Z tylu możliwości któż odgadnie tę właśnie, co go boli? Dotychczas nie wiedział nic o dziecku, tyle tylko, że się rodzi, chrzci, a potem albo rośnie, albo umiera.

Przed nim małe, rozedrgane życie, przed nim przerażone oczy Maii, które błagają go... Czuje, że nic nie może.

— To przejdzie, — rzekł. — U dzieci często coś przyjdzie i przejdzie, — dorzucił, i to puste słowo rozległo się naokoło: puste, bez przekonania i bez siły. Maja odczuła jego pustkę, załamała ręce, młode jej ciało zachwiało się i padło na łóżko obok dziecka.

Don Lovro popatrzył na nich oboje: biednych, złamanych, bezradnych.

Wrócił do biblioteki i dał znać Vitowi, by przyszedł.

Vito stał już chwilę pod drzwiami niespokojny i wystraszony. Gdy posłyszał znak, wszedł do pokoju i zaraz zapytał:

— Uspokoi się? — Daleko je słychać!

— ??

— Dużo kobiet było i słyszały.

— Dużo...?

— Dziś jak na złość było ich więcej niż kiedyindziej. Dzisiaj prawie o nic nie pytały, nawet się nie oglądały. Gdy tylko która usłyszała płacz, zaraz uciekała...

Dalszy ciąg nastąpi

KNOTEK MALUJE PEJZAŻ

Rys. i tekst: Pawl.



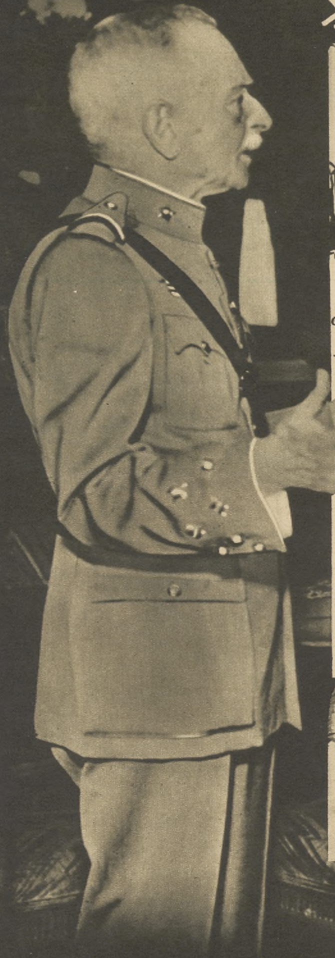
Knotek mistrza chcąc mieć sławę, Ruszył z pędzlem na wyprawę.

Motka cielę, co się pasie, — Na malarstwie jakby zna się.

Ma w języku „dryg" artysty... Tworzy dzieło futurysty.

Knotek, gniewny i strapiony — Motek — chwali „kicz" skończony.

»z Portugalii do Portugalii«







Na lewo: Prezydent Portugalii Carmona, przed odjazdem na Azory.

Mapka nasza pokazuje wyraźnie dążenia ekspansyjne imperialistów w USA.

Poniżej: Widok wygasłego, napełnionego wodą krateru na Azorach.

Powyżej: Premier dr. Oliviera Salazar odbiera defiladę wojsk wyruszających na Azory.



Podróż sędziwego prezydenta Portugalii Carmony do posiadłości portugalskich na Atlantyku nie jest bynajmniej wypoczynkową. Jest ona demonstracją przeciw nieograniczonym dążeniom ekspansyjnym pewnych kół USA, na których czele stoi prezydent Roosevelt. Nim prezydent Carmona wsiadł na okręt „Carvalho Araujo" powiedział, że jedzie z Portugalii do Portugalii, a prezydent ministrów dr. Salazar zaznaczył, że jest to podróż suwerenna. Portugalia bowiem nie myśli o tym, aby wyspy odkryte przez Portugalczyków w latach 1432 i 1452 i będące w jej posiadaniu stały się punktami oparcia dla Ameryki. Obecnie bada sam prezydent urządzenia obronne na Maderze, na Azorach i na wyspach Kapwerdyjskich, gdzie w ostatnim czasie wzmocnione zostały wybitnie wojska portugalskie. Portugalia jest przewidującą i jest zdecydowaną przeciwstawić się nawet siłą rabusiowskim zapędom USA tym więcej, że ludność tych wysp lgnie coraz silniej do swej portugalskiej macierzy. Anglicy okazywali poprzednio niejednokrotnie ochotę zagarnięcia tych wysp i zdaje się, że ten angielski przykład wywołał ten apetyt zaborczy jaki dziś w stosunku do tych wysp obserwujemy w USA. Podróż portugalskiego prezydenta do tych kolonii jest dobitnym podkreśleniem zdecydowanej woli Portugalczyków bronienia swych posiadłości na Atlantyku. Tej nieugiętej woli objawem jest też powiedzenie portugalskiego ministra marynarki, który głośno i zwięźle oświadczył: „Za wszelką cenę będziemy bronić kraju, który do nas należy!".

Fot. Ass. Press Atlantic 2

Co nowego w Indochinach?



Nazwa Indochin, powtarzała się w ostatnim czasie dość często we wszystkich dziennikach, przede wszystkim zaś w tym czasie, kiedy Japonia podjęła się pośrednictwa w załagodzeniu sporu granicznego pomiędzy królestwem Syjamu i należącymi do Francji Indochinami, który to spór rozwiązała w sposob zadawalający obie strony. Podejmując się tego pośrednictwa starała się Japonia postąpić o krok dalej w obranym przez siebie i przez siebie zaczętym dążeniu do wprowadzenia nowego porządku

U góry:
Do baz które w Indochinach odstąpiła Francja Japonii należy ważny port Haifong. Ilustracja nasza przedstawia wkroczenie oddziałów japońskich.

Powyżej na prawo:
Między załogą francuską Indochin a przybyłymi żołnierzami japońskimi szybko zapanowało porozumienie.

W kole:
Rzut oka na miasto Hanoi, stolicę Indochin. Razem z przedmieściami liczy to miasto 150.000 mieszk.

Na prawo:
Suchą porę roku wykorzystuje się na to, by nisko w tym czasie stojące wody wewnętrzne oczyścić z zarastającej je rzemienicy, utrudniającej rybołóstwo.

Poniżej:
Auto jako środek komunikacji zrobiło konkurencję rikszy. Mimo to spotyka się jeszcze na ulicach oba pojazdy obok siebie.







na terenie Azji. Na to pośrednictwo w sprawie pokoju patrzano wówczas krzywym okiem zarówno w Anglii jak i w Ameryce, gdyż widziano w tym znikającą nadzieję wciągnięcia także Indochin do prowadzonej przez Roosevelta polityki okrążającej Japonię. Indochiny są bowiem nie tylko krajem bogatym, posiadają jeszcze oprócz tego różne bogactwa naturalne jak np. kauczuk, którego Ameryce brakuje.

Po gorzkich doświadczeniach w Dakarze i Oranie i po obsadzeniu Syrii przez dawnego sprzymierzeńca Francji Anglię, stała się Francja dwa razy tak ostrożna jak dawniej. W żadnym wypadku nie ma ona zamiaru oddać lub stracić ani piędzi, ani stopy ziemi ze swych posiadłości kolonialnych. A ponieważ chciałaby swoje posiadłości w Indochinach zabezpieczyć dość wcześnie przed anglosaskimi dążeniami zaborczymi Ameryki i Anglii, zdecydowała się Francja powierzyć opiekę nad Indochinami Japonii. Prowokatorzy w Waszyngtonie przyglądają się więc teraz bardzo rozczarowani, jak wojska japońskie wmaszerowują do Indochin, niezadowoleni z tego, że ten krok Francji pozbawia ich możliwości zagarnięcia w swe ręce bogactw tej bogatej kolonii. Japonia jest bowiem dość silna by odeprzeć wszystkie zakusy, ma też dostateczną ilość sił morskich, lądowych i powietrznych stacjonujących w Indochinach i wojska te uczynią wszystko, by przeszkodzić naruszaniu spokoju na terenie wschodnioazjatyckim. Na wszelkie próby ze strony państw anglosaskich w tym kierunku odpowie, jeżeli zajdzie potrzeba, nawet z bronią w ręku.

Fot. Scherl, Weltbild, Atlantic, Slg. Seiler 2



KTO SIĘ KOGO BOI!
Dwóch członków amerykańskiej akademii marynarki, ważących po 75 funtów, boksuje się zawzięcie. Wynik walki niewiadomy.



KOBIETA SKOCZYŁA 1.66 M...
Szwajcarka Ilsebill Pfennig, osiągnęła w Lugano rekord światowy w skoku, zdobyty poprzednio przez Angielkę Oda. Prosimy nasze czytelniczki spróbować tego skoku, choćby dla przekonania się jaki to fantastyczny wyczyn.

Fot. Ass. Press 3



.....A MĘŻCZYZNA SKOCZYŁ 2.10 M
Lester Steers, mistrz Ameryki w skoku wzwyż, z Oregonu, „przerzuca się" na naszej ilustracji po mistrzowsku przez poprzeczkę. Steersowi udało się tutaj pobić własny rekord zdobyty w Palo Alto w Kalifornii.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



Dziś — znowu zdjęcie grupowe z warszawskiego placu targowego. Dobrze uchwycono moment ruchu i nieskrępowania. Dalej jest tu różnorodność gestów, wyrazu twarzy, zajęcia. Tło jest natomiast trochę za blade, w ogóle dalszy plan zaciera się. Byłoby lepiej, gdyby pani Chruścielska, która to zdjęcie robiła, odczekała, aż będzie trochę mniej ludzi, wtedy wystąpiłyby postacie pierwszoplanowe jeszcze wyraźniej i zdjęcie nie robiłoby przy swej dobroci wrażenia trochę chaotycznego. Być może przyczyną jest też za jasne tło. Są to jednak usterki, które nie umniejszają wcale zdolności fotoamatorskich adresatki. Zdjęcie wykonano apar. Weltur, [illegible] sek., godz. 10.

Któżby nie zaczął się śmiać, spojrzawszy na drugie zdjęcie! Jest tak oryginalne i tak przy tym zabawne, a w dodatku ładnie upozowane — pierwszy to raz w historii naszego kącika — że choćby dla pobudzenia naszych fotoamatorów do śmiechu należało zdjęcie zamieścić. Ale, abstrahując od tego, zdjęcie samo w sobie również na to zasługuje. Wykonał je p. Konarski z Krakowa, apar. Leica, [illegible] sek. przesł. 9.

Za zdjęcia zamieszczone w kąciku płaci redakcja 16—20 zł.







Skutki pięknego dnia wiosennego

(Söndagsniase-Strix, Szwecja)

*

— Żona pańska ostatnio bardzo zeszczuplała.

— Tak, to prawda. I bardzo się z tego cieszę. Teraz gdy wejdzie do budki telefonicznej, aby telefonować, może już zamknąć drzwi za sobą.

*

— Karolu, czy powinszowałeś już panu Nowakowi na imieniny?

— A czy dzisiaj jest Nowaka?

*

MAŁE MIASTECZKO

Panu Anyżkowi umarła żona. Sąsiedzi zapytali go:

— Czemu pan nie wezwał naszego lekarza?

— A czy on u mnie kupuje swoją pastę do zębów?

U WRÓŻKI

— ...Ma pan zamiar zaręczyć się z młodą panną, ale jakaś druga kobieta się temu sprzeciwia i stawia przeszkody.

— Zgadza się. To napewno moja żona! Ta musi się do wszystkiego wtrącić.

*

OSZCZĘDNOŚĆ

Konduktor kolejowy do pasażera:

— Ależ panie, pan jedzie bez biletu!

— No tak, proszę pana. Postanowiłem oszczędzać od dzisiaj.

*

POZNAŁA GO DOBRZE

— Czy w ciągu tych dwudziestu pięciu lat małżeństwa nie zmniejszyła się miłość pani męża?

— O, nie, kocha siebie zawsze tak jak przedtem.

*

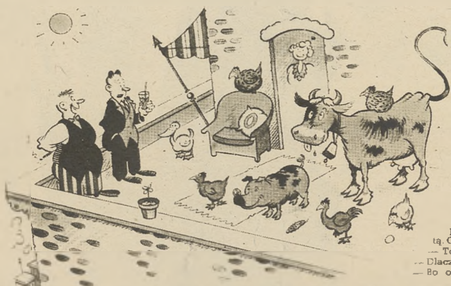
PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

— W tej chwili rozmawiałem z twoim ojcem, Janko.

— No i co, no i co?

— Źle! Wszystko co ma zamiar nam dać — to zgoda na nasz ślub.

*



Na naszym balkonie mamy małe gospodarstwo.

(Söndagsniase-Strix, Szwecja)



ZEMSTA

Że mnie teraz gotujecie, no to już nie poradzę. Ale pomyślcie, że zapłaciliście za mnie po 10 złotych za funt, a ja jestem kurą i w dodatku starą, a nie kurczęciem i że ze mnie żadnej dobrej zupy nie będzie, chociażbyście się na głowie postawili.

(Marc Aurelio)

*

SPECJAŁ

Emil wszedł do sklepu delikatesowego. Emil żuje chętnie tytoń.

— Czy mogę prosić o tytoń do żucia?

— Niestety, nie prowadzimy tego.

— I to nazywa się sklep z delikatesami! — zaznacza Emil pogardliwie.

*

— Madziu, widziałam wczoraj, że pozwoliłaś pocałować się listonoszowi, gdy przyszedł z pocztą. Od jutra ja sama będę wobec tego odbierała pocztę.

— To ci się na nic nie przyda, mamusiu.

— Dlaczego?

— Bo on mi przysiągł, że żadnej innej nie pocałuje.

*

W SĄDZIE

Po zakończeniu przewodu sądowego zwraca się sędzia do oskarżonego i mówi: Ostatnie słowo należy do oskarżonego!

Wtedy ten zwraca się do sali sądowej, gdzie znajduje się również jego żona, i odzywa się do niej z triumfem: „A widzisz, stara? Zawsze się sprzeczałaś o to, kto ma mieć ostatnie słowo".

*

MAXIMUM

Franka Pieczonkę zapytał raz przyjaciel, który niedawno przekroczył wrota raju małżeńskiego:

— Powiedz, Franku, jakie jest minimum, które by wystarczyło kobiecie na zaspokojenie jej potrzeb?

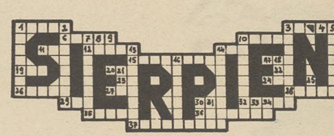
Franek odpowiada z posępną miną:

— Mój synu, kobiecie wystarcza ledwo to maximum które mąż jest w stanie jej dać.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA „SIERPIEŃ"

uł. Z. A.



Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. kwiat wodny, 3. jedenasty stopień gamy, 4. znak chem., 6. treść, osnowa, 10. więzy, 11. część piekła mitolog. (wspak) 12. ogłoszenie, zawiadomienie, 14. rzeka w Szwajcarii, 15. tragik grecki, 17. przysłówek, 19. drzewo, 20. część dzieła, 22. lit. fonet (wspak), 23. nuta, 24. drwi, szydzi, 26. uczeń, kleryk, 27. namiestnik w Kroacji, 28. moneta, znak, 29. las liściasty, 30. utwór liryczny, 32. bogini grecka, 35. plan, kontur, szkic, 36. bożek domowy w wierze Żmudzinów 37. framuga, wykusz,

Pionowo: 1. star. nazwa Paryża, 2. rodz. ciosu bokserskiego, 3. miasto rodzinne Abrahama, 5. skorupiak morski, krewetka, 7. kraina w Hiszpanii, 8. znak chem., 9. zaimek, 10. sól arsenowa, 13. składnik nasienia niektórych roślin, 14. kwit, banknot, 16. ludowa nazwa monety rosyjskiej, 18. papier_klaisty. 21. owad 25 miara pow., 30 część nogi (wspak), 31. podarunek, 33. zaimek, 34. litera fonet.

BILETY WIZYTOWE

uł. Z. R.

Objaśnienie: Litery tak poprzestawiać, aby otrzymać żądane rozwiązanie.

H. RACZUK

Jaki zawód ma ten pan?

M. TARADMES

W jakim mieście europ. mieszka ten pan?

KYPAJZOŃC

Jakiej narodowości jest ten pan?

ZAGADKI

uł. E. K.

Czy znasz muzykanta, co wciąż trąbę nosi?
Zamiast grać na trąbie ciężary podnosi.

Kupiłem pewną ilość stołków i rozstawiłem w pokojach. Kiedy rozstawiłem po trzy stołki, jeden stołek był zbyteczny. Kiedy zaś rozstawiłem po cztery stołki, był jeden pokój bez stołków. Ile mam pokoi? Ile kupiłem stołków?

Jaka choroba nie panowała jeszcze na ziemi?

Jaką roślinę pozna niewidomy?

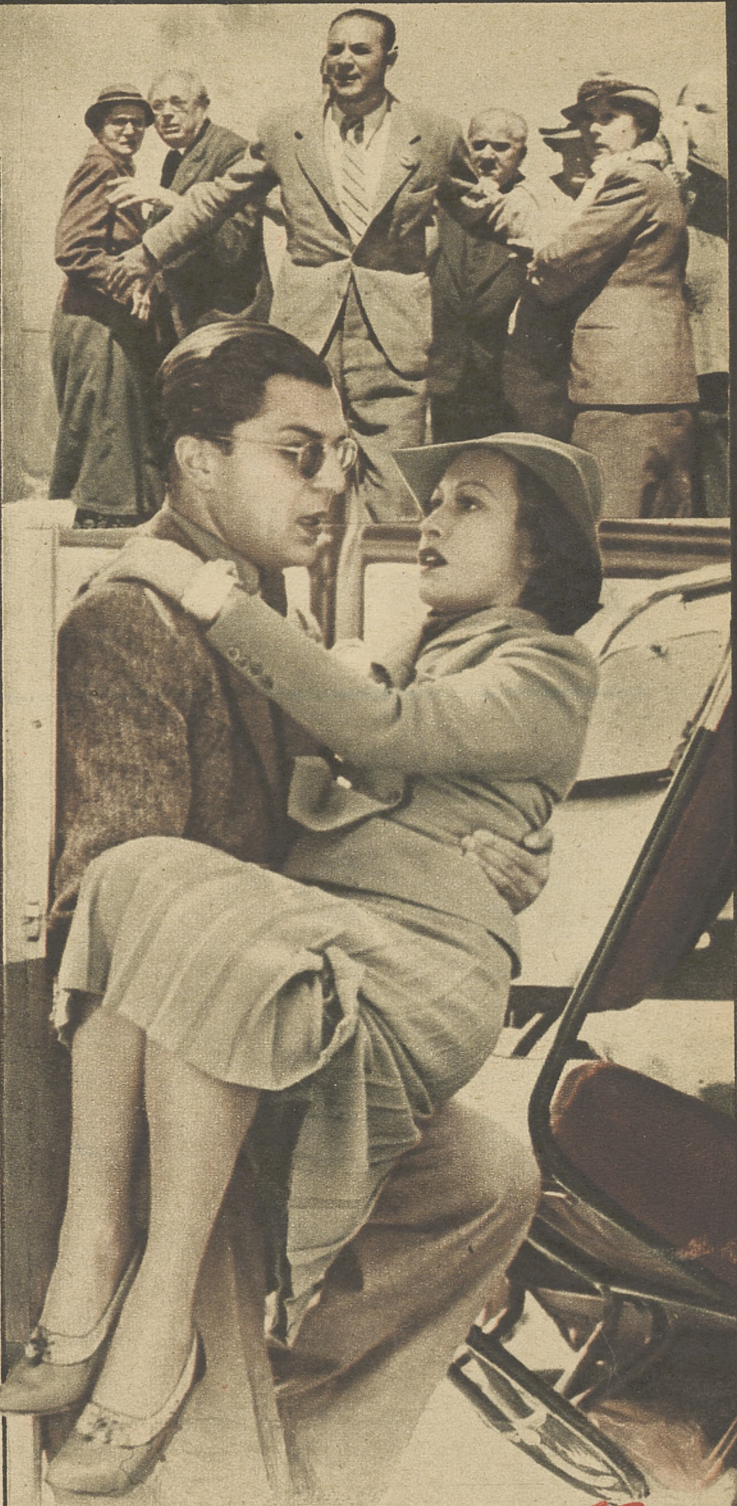
ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z Nr. 31.

Wirówka: Aligator, fontanna, sarkofag, emigrant, dokument, godzinki, agitator, nikotyna, parafina, tarczyca, rezultat, kleszcze, serenada, wyznanie, rozrywka, siodlarz, Posejdon, profesor.

Kwadrat magiczny: Rodak — omega — demon — agora — kanak.

Spotkamy się w Wenecji...





Heli Finkenzeller Viktor de Kowa



Nieraz rozchodzi się małżeństwo w krótszy czy dłuższy czas po ślubie, ale żeby zaraz po ślubie wprost od ołtarza się rozejść tego jeszcze chyba nie było, a jednak fakt taki zachodzi w filmie „Spotkamy się w Wenecji". Powodem rozwodu—mały piesek żony, który wyprowadza pana młodego z równowagi. Procesem rozwodowym zajmują się adwokaci, a państwo młodzi wyjeżdżają zamiast w podróż poślubną, każde z osobna. Dzięki pechowi a może szczęściu spotykają się ich drogi w autobusie wycieczkowym Berlin—Wenecja. Podróżują przez 14 dni razem. Przygody przebyte na wycieczce zbliżają ich do siebie z powrotem, a czarujące krajobrazy i wycieczki gondolami budzą ich miłość na nowo. Tymczasem adwokaci przeprowadzili już rozwód. Jak postąpią rozwiedzeni małżonkowie zobaczymy na ekranie.

Fot. Tobis